ROK CZWARTY.

—

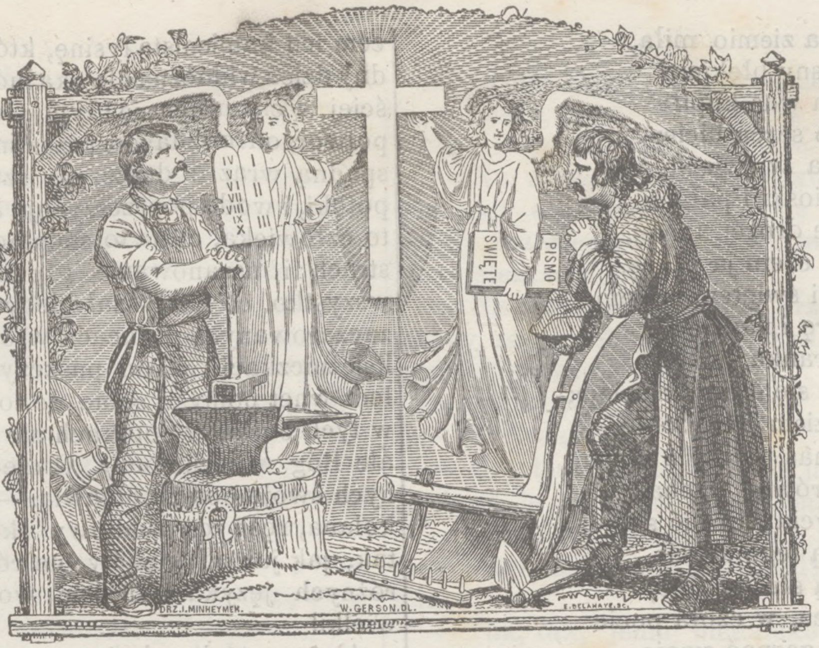
№ 2.

WARSZAWA.

D. 28 grudnia (9 stycznia)

1859.

Niedziela między Oktawą Trzech Króli.



REDAKCYA CZYTELNI przy ulicy Chmielnéj Nr. 1527.

Prenumerata rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie kop sr. 90, kwartalnie k. sr. 45, miesięcznie k. sr. 15. Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich, płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Panie! błagamy Cię, racz przyjąć z niebieską dobrocią śluby i pokorne modły ludu Twego, a wylej nań Twe błogosławieństwo, iżby poznał, co ma czynić, a poznane mężnie, wytrwale wykonywał. (Kollekta na Niedzielę między Oktawą Trzech Króli.)

Wiano Marysi.

—

Ach! dla Boga, ja nieboga!
Ludzie mówią, żem uboga,
Żem uboga córka wdowy.
Ludzie, ludzie! co wy wiecie?
Czegóż braknie lilii w kwiecie,
Lub ptaszynie wśród dąbrowy?
Jak ta lilia, jak ptaszyna
Żyję sobie z łaski Bożej:
Dla mnie dzionek się zaczyna
Z pierwszym blaskiem rannej zorzy;
Z pierwszym blaskiem, pierwszą pieśnią,
Co zadźwięczy wśród błękitu.
Niech próżniacy sobie prześnią
Onę cudną chwilę świtu,
Niech ją prześnią, kiedy w puchu
Przemęczyli noc bezsenną;
Ja do życia, pracy, ruchu
Z zorzą zrywam się promienną.
A gdy z żywą serca wiarą,
Wzrok gdzieś wzniosę ponad siebie,
Ojców moich mową starą,
Pomodlę się Bogu w niebie;
Tak mi dobrze, raźnie, błogo
Na tym ślicznym Bożym świecie,
Że ja biedne wioski dziecię
Nic już nie chcę od nikogo.
Ach! bo dla mnie tam zwysoka
Słońce złotym blaskiem strzela,
Promieniami swego oka
Cichą chatkę rozwesela.
Dla mnie nucą ptaszął głosy,
Dla mnie brzęczą muszek roje;
Moje perły srebrnej rosy,
Łąk i gajów kwiaty moje!
Wszystkie dobra, wszystkie skarby
Zakupione dookoła:
Wonie, światła, dźwięki, barwy,
Ile miłość spłacić zdoła.

Tak ojczysta ziemio miła,
I niebios jasny błękicie!
Jam u Boga was kupiła
Za czystego serca bicie;
I największa w świecie pani,
Choć ma wioski i pałace,
Nie starguje drożéj, taniej,
Aż zapłaci, czem ja płacę.
Aż z miłości świętem mytem,
Złączy wiarę i nadzieję,
A każdego ranku świtem
Równo nam się świat zaśmieje;
Równo będziem czuły obie,
Że Bóg na nas patrzy z nieba,
I że każdej równo trzeba
Szczęście życia skarbić sobie.
Bo nie kupią tego krocie,
Nie wyręczą służby roje;
W biciu serca, w czoła pocie
Każda musi garnąć swoje.
Niech więc ludzie robią działy:
Ta uboga, ta bogata,
Na tej jeno rąbek biały,
A u tamtej złota szata;
Tak we dworze, jak w komorze
Obie jeden skarb zbogaca:
Promień łaski Twojej Boże!
I swych własnych czynów praca.

Tęsknota górala.

—

Wy wszyscy, którzy mieszkacie wśród równin Mazowsza, nie możecie nawet wyobrazić sobie, jakieto wysokie góry oddzielają od Węgier, część dawne Polski, Galicyę. Te góry ogólnie zwane *Karpatami* na liczne dzielą się rozgałęzienia, to ciągnąc się długiem pasmem dziwacznie pogarbionem, niby wał usypany z olbrzymich kamieni ręką Bożą, to wznosząc się spiczastemi końcami pod obłoki, jak jakich kościołów wieże. Szczyty takie, które lud tamtejszy zwie *werchami*, najczęściej są nagie, bo na podobnych wysokościach, gdzie płaty śniegu przez całe lato leżą niestopione, nic się nie rodzi; nieco niżej dodopiero pokazują się mchy różne, niektóre rośliny służące za pokarm pnącym się na te wysokości kozom, oraz kosodrzewina. Swierkowe lasy zarastają gęsto całe boki gór tych wspaniałych i otaczają ciemno-zielonym wieńcem ich kamienistą łysinę, która tylko w pogodny dzień widoczna dla oka ludzkiego, a najczęściej w chmurach się kryje. Gdy zaś bruzdami potworzonemi zdawna przez śniegi i nawałnice, spadną wraz z deszczem szumiąc i hucząc potoki, i wodą poprzerzynają łąki na dolinach, to człowieka, co na to spogląda, ogarnie jakiś strach i uszanowanie i przypomni mu się wszystko, co zasłyszał kiedy w dzieciństwie o zaczarowanych pałacach wróżek, o zaklętych księżniczkach wśród puszczy skamieniałych; lecz wnet pomyśli sobie, że to bajki tylko, że w tych borach i potokach nie czart dokazuje, ale Bóg wszechmocny w rzeczach stworzonych swoję potęgę objawia,—wtedy pada na kolana, ręce do modlitwy składając i woła tak, jak już od wieków na różny sposób i w różnych językach ludzie wołają: Bóg jest wielki!

Ale zapytacie mi się zapewne, czy w tych strasznych ciemnych borach, nad temi huczącemi potokami, co biegną z gór wysokich, można ludzi spotkać i gdzie oni mieszkają? —czem się żywią niebożęta, kiedy tu prócz poziomek i grzybów niektórych, nie widać w lecie nic więcej? Lecz oto przyparty do boku góry, na zieleniejącej niwce jest szałas z kilkunastu starych desek zbity; dalej widać zagrodzone hurty dla owiec, a wyżej wyżej jeszcze kilkaset wyszłych ztamtąd owiec rozpierzchłych po spadzistości góry i wieszających się za lada listkiem tak łakomo i nieuważnie po skale, że zdaje się spadną z niej lada chwila i na miazgę się zetrą na dnie kamienistych potoków. Lecz nie bójcie się, górskie to owce, zrosłe na tych skałach, do tych wichrów i szumów przywykłe, tak, jak oto ich pastuszek, co sobie usiadł na złomie skały, zwieszając nogi nad taką głębią, żeby po nas aż mrowie przeszło do niej zajrzeć. Chłopczyk ten mieć może najwięcej lat dwanaście; ciemne długie włosy spadają mu po dwóch stronach pięknej ściągłej twarzy, ubior jego, jaki znamy u druciarzy, koszula nasmarowana tłustością, ponieważ ma na całe lato wystarczyć, ciemna jest i połyskliwa, lecz spięta błyszczącą mosiężną klamerką, większą od rubla, z mnóstwem łańcuszków całe piersi zdobiących, co większą zamożność pokazuje. Pas na nim skórzany nabijany mosiężnemi goździkami, a tak szeroki, że się łączy na piersiach

z łańcuszkami klamry; z prawego ramienia spada mu ciemno brązowa kurtka z grubego sukna, którą górale *gunią* zowią, a która ich wśród największego nie opuszcza gorąca; kapelusz okrągły podobny także do druciarskiego lecz czyściejszy i ozdobiony rzędem białych muszelek zwanych tam *kostkami*. Położył go przy sobie, a z tego kapelusza pęk świeżych białych wygląda goździków, które chłopiec biorąc jedne po drugich, zręcznie układał, nucąc wesoło. Gdy już kwiaty były w należytym porządku, pastuszek świsnął na swoje owce, żeby się bardzo nie rozbiegały, potem przyłożywszy rękę do oczu, rozejrzał się po werchach i po *niżniach* (doliny), gdzie znać było ścieszek ślady. Wnet zerwał się z miejsca wesoło, poprawił gunię na plecach i trzymając z uwagą kwiaty swoje, popędził w raźnych podskokach, przeskakując strumyki, rozpadliny skał, zaczepiając nogą za tak ostre i spadziste kamienie, że każdy inny byłby się na nich poranił. Po drugiej stronie rzeczki Roztoki, co na samym spodzie doliny wartko płynęłą, rozbijając się z szumem i łoskotem o brzegi kamieniste, dostrzegł bystrooki chłopiec schodzących po spadzistej górze z trudem i ostrożnością kilku panów, którzy zobaczywszy go, przystanęli zaciekawieni jego widokiem. Tymczasem chłopczyk do nich zdążał. Roztoka nawet bystra nie zatrzymała go długo; popatrzył chwilkę, gdzie największe pośrodku sterczały kamienie, tu postawił nogę, tam drugą i w trzech poskokach już był na drugiej stronie. Panowie też zbliżali się zwolna, patrząc się na niego z zajęciem.

— Chłopcze! zawołali, czy ciebie kozy skakać po skałach uczyły?

Pastuszek zaśmiawszy się, pokazał między rumianemi ustami prześlicznéj białości zęby i wyciągając rękę z goździkami, zapytał:

— A może panowie kwiatki wezmą?

Panowie wzięli kwiatki, dali mu za nie podarek w pieniądzach, lecz żądali czego do jedzenia.

— Jest u nas w szałasie świeża żętyca, odpowiedział chłopiec.

— Co to żętyca?

— Serwatka, co od sera owczego odciekła, wytłumaczył drugi pan pierwszemu.

— A wy cóż jadacie? zapytał starszy z panów, chłopca.

— Cóżby innego, odpowiedział—żętycę.

— Jakto, rano, wieczór, w południe, nic innego tylko serwatkę, zawsze serwatkę?....

— No, a cóż my mamy innego? spytał chłopiec i jął się śmiać, biorąc się za boki, tak mu się zdziwienie owych panów śmieszném i niepojętem wydało.

— Niechnobym ja wam przyniósł naszéj żętycy, rzekł, tobyście zobaczyli. Potem zaś dodał ciekawie:

A zkądże wy?

— Z Krakowa.

— Haj, haj! to daleko; ale ja wiem, gdzie Kraków, ja już o nim słyszałem.

— Gdzie twój szałas? pytali panowie.

— Tam niedaleczko, za wodą, za pierwszą górką.

— Tak, tak, jemu niedaleko, powiedział najstarszy z panów do drugich, pędził jak wiatr i nawet się nie zadyszał.

— Jakże nie ma być lekkim od serwatki, zażartowali drudzy.

— Jak się nazywasz? zapytano chłopca.

— Staszek.... a no co? chcecie żętycy? dodał.

— Dobrze, lecz żebyś nam dał choć chleba do tego.

Chłopiec spojrzał bystro i ciekawie w oczy mówiącemu i zapytał po chwili:

— To co wy chlebem nazywacie?

Panowie zdumieli.

— Chleba nawet nie znasz? zawołali, tłomacząc mu, co my nazywamy chlebem.

— No, no, to już wiem—i my jadamy w zimie z owsianej mąki taki placek; ale zkąd go teraz mieć, jeszcze się w nizinach owies nie urodził, a tu to my go nigdy nie widzimy.

— Wieluż was jest w szałasie?

— Jest nas sześciu *juhasow*, jeden *baca* i czterech psów.

— Jakto? siedmiu mężczyzn i czterech psów żyje przez półroku samą tylko serwatką, wykrzyknęli panowie z nowem podziwieniem.

— Kto to jest *baca*? spytali go.

— To jest mój ojciec,

— Ale co to znaczy *baca*?

— To jest taki, co robi sery przez całe lato i pilnuje, żeby juhasi dobrze owce paśli i doili.

— Więc ci juhasi to parobcy, którzy mu dopomagają w robocie koło owiec?

— No tak — a tych owiec mamy coś więcej jak trzysta.

— Do kogóż one należą?

— A tak różni *gazdowie* (to jest gospodarze) oddają swoje owce, ten 15, ten 20, inny więcéj lub mniej, żeby się razem pasły pod jednym bacą. Kilka dni po oddaniu przychodzą na szałas patrzeć, jak dużo mleka dają. Są przy dójce, odmierzą mleko swoich owiec i według tego umawiają się z bacą, jak im ma dużo sera oddać, który resztę tego sera na swój zarobek sprzedaje.

Skończywszy chłopak, spojrzał znowu panom w oczy i zapytał:

— Po co tu panowie do naszych gór przyjechali?

— Żeby się im i tobie przypatrzeć, mój Staszku.

— A jakże się wam tu *uwidziało*? (spodobało)

— O! piekne, bardzo piękne góry wasze; zdrowa woda, jeszcze zdrowsze powietrze.

— Co prawda, to prawda, zawołał Staszek z dumą i radością; i poskoczywszy do tuż tryskającego ze skały źródła, nadstawił kapelusz, napił się sam z niego i chciał panom podać. Lecz panowie podziękowawszy, pytali tylko Staszka, czyby nie wiedział o jakiej chacie, do którejby ich na dni kilka na mieszkanie przyjęli.

— Wiem, zawołał Staszek, tu zaraz na polance jest jedna taka chata, gdzie mają izbę dla gości. Tam i mleka i śmietany dostanie, bo krowy mają,

Po półgodzinnej drodze zeszli podróżni nasi na polankę, która była rzeczywiście kawałkiem zielonego pola, rzuconego wśród skał i lasów. Na niej sterczało kilka chat bez kominów, a tylko z wązkiemi otworami na dachu do wypuszczania dymu. Jedna z nich wyglądała nowa i porządniejsza od drugich, wyraźnie postawiona z zamiarem pomieszczenia przyjeżdżających licznie w te strony gości to dla poratowania zdrowia, to dla przypatrzenia się górom wspaniałym. Podróżni panowie ugodzili się z właścicielami naprzód na tydzień, a potem zostali dłużej, bo im powietrze górskie i nawet żętyca niezmiernie były na zdrowie. A skoro tylko szli gdzie dalej w góry, musiał im przewodniczyć Staszek juhas; nagradzali go suto, a on jak tylko mógł to do nich zabiegał, bo się do nich przywiązał, że byli łaskawi dla niego. Tam ciekawie słuchał wszystkiego, co mu opowiadali o Warszawie i o dalszym polskim kraju.

Najstarszy z tych panów, którego pułkownikiem nazywano, choć munduru nie nosił, czytał mu kilkarazy ciekawe rzeczy z książki, a Staszkowi z zajęcia oczy jak węgle się świeciły. Tak minął miesiąc, i przy pożegnaniu z podróżnemi panami biedny górski pastuszek wylewał łzy obfite, bo mu tęskno było za temi, którzy mu tyle pięknych i pożytecznych rzeczy o Bogu i ludziach powiedzieli.

We dwa lata później, w miesiącu lipcu półkownikowi znowu lekarze dla polepszenia zdrowia w góry jechać kazali. On też znajomym traktem przez miasteczko Nowytarg, w stronę gór zwanych Tatrami podążył, gdzie przypominał sobie znajomego Staszka i domek czysciutki, w którym miesiąc cały przemieszkał. Domek znalazł cały i pomieszczenie w nim wygodne, a o Staszka ledwo się już mógł dopytać. Lecz dopytał się nareszcie i znalazł go nawet, ale schudzonego i posmutniałego bez pięknej klamry u koszuli, bez kostek na kapeluszu; wszystko, co było lepszego, przedało się w miasteczku na kawałek chleba. Staszek bowiem stracił ojca, matki zaś już nie miał, umarła oddawna; po ojcu nic nie zostało, ciężko więc było sierocie, który nie miał ani brata, ani siostry. Pułkownik zobaczywszy go, powiedział mu odrazu: pojedziesz ze mną? a Staszek uradowany, że go widzi, rzekł bez namysłu: pojadę dobry panie i będę cię pilnował jak ojca.

Po pięciu czy sześciu tygodniach pobytu w górach wyjechali do Krakowa, a Staszek choć się z kilka razy obejrzał tęskno za górami swemi, nic a nic nie płakał, tak w nim przemogła ciekawość widzenia dalszego świata, miast wielkich i ludnych, z pięknemi domami i kościołami.

W Krakowie kupił mu zaraz pułkownik sukna na nowe ubranie, a Staszek skoro oblókł miejską odzież, swoję góralską schował pod klucz, złożywszy starannie, i wtedy pierwsza ciężka łza smutku spadła mu z oczu na wyszarzaną gunię, utkaną z wełny tych owiec, które niegdyś pasał.

Opiekun zaczął go zaraz posyłać do szkoły, gdzie go wkrótce czytać i pisać nauczono. Staszek przez zimę wyrosł z nieuka na myślącego chłopaka, poznał prawdy religii swiętej, pozbył się wielu zabobonów i niemało pożytecznych rzeczy się dowiedział. Nauczyciele go chwalili, pułkownik pokochał i co dzień prawie dawał mu dowody swej życzliwości. Było to wszystko bardzo miłe dla biednego chłopca, jednak z każdym dniem czuł zwiększający się ciężar, co mu serce tłoczył jak kamień, a w oczach było mu zawsze tak łzawo, że wszystko, co go otaczało, zdawało mu się szare i brzydkie; tylko gdzieś w oddali, blaskiem słońca otoczone, migały mu się to góry na pół skryte w chmurach, to lasy świerkowe, lub szumiące białą pianą potoki i ubożuchny szałas ojcowski.

Gdy się dowiedział na wiosnę, że pojedzie z panem na wieś, uradował się niezmiernie, bo myślał, że to tylko w mieście tak człowiekowi duszno jakby ptakowi w klatce. Pułkownik miał piękną wieś za Krakowem, lecz była ona jak zwyczajne wsie nasze. Chaty w rzęd poustawiane, trocha piasku trocha kamieni; dalej łany urodzajne, na których się zboża kołyszą, dalej jeszcze pas lasu ciemnego, lecz to wszystko na takiej rozległej płaszczyźnie, że gdyby nie dzwonnica parafialnego kościoła, nie byłoby oczom na czem się zatrzymać. Byłyć tam jakieś wzgórza z jednej strony, ale tak nieznaczne, że Staszek nawet na nie nie patrzał; gdy zaś wzniósł oczy w górę, to mu się płakać chciało, tak tam było pusto i smutno. Pływały wprawdzie po niebie złote obłoczki, ale nie zatrzymywały się na turniach kamiennych, przeleciał czasem ptak, ale nie miał gdzie się wzbić i szybować aż pod chmury, bo nie było werchów, na którychby szumiały lasy świerkowe, a chociaż było widać niedaleko stawek wcale czystej wody, to się tak przyczaił cicho między trzcinami, że go nawet i słychać nie było.

— O! mawiał Staszek z westchnieniem, nigdzie nie jest tak pięknie jak u nas!

Minęło lato i na zimę do Krakowa wrócili. Staszek już miał lat szesnaście, pułkownik przemyśliwał, jakiby mu stan obrać. Obawiał się go puścić w świat nieumiejącego nic dokładnie, gdyż tacy ludzie nigdy sobie dać rady nie mogą, nie potrafią nawet na chleb zarobić i są dla drugich ciężarem. Lecz martwił się poczciwy opiekun, widząc, że Staszek chudł i mizerniał coraz bardziej, że pod oczyma jego zatoczyły się jako ślady cierpienia, ciemne kręgi.

Wtedy przywołał Staszka, pytając, co mu jest i czego smutny, czy nie chory czasem?

Staszek skłonił się do nóg jego, mówiąc o swej wdzięczności, zapewniał, że mu nic nie brakuje, że ojciec rodzony nie mógłby być lepszym dla niego.

Pułkownik już sam nie wiedział, co myśleć; rozkazał staremu kamerdynerowi pilne na chłopca dawać baczenie. Kamerdyner przyszedł po dniach kilku panu oznajmić, że lubo Staszek wszystkie obowiązki na siebie włożone pełni dokładnie, zdaje się jednak, że uczęszcza na jakieś nocne hulanki, gdyż właśnie tego rana pościel jego zastali złożoną, jakby na niej nikt nie spał, a powiadają słudzy, że to już nie pierwszy raz. Pułkownik zafrasował się niezmiernie.

—Musimy, rzekł do starego sługi, wyśledzić, gdzie on chodzi; ale niech to zostanie między nami, nie trzeba mu robić wstydu, tylko porządną dać naukę.

Następnego dnia, gdy pułkownik, który zwykle długo siedział z wieczora, zabierał się do spoczynku, wszedł do niego kamerdyner.

— Panie, rzekł, już wiem, gdzie się nasz Staszek podziewa; możeby Pan sam rad zobaczyć?...

I zaprowadził go na strych, kędy była izdebka, gdzie stare i niepotrzebne składano rupiecie. Od tej izdebki drzwi były odemknięte, a w środku widać było palącą się świecę. Pułkownik spojrzał wgląb i zdumiał cały. W pośrodku izby stał Staszek ubrany pogoralsku, ze swym starym okrągłym kapeluszem, i śpiewając jakąś pieśń pół smętną, pół dziką, tańczył, przytupując i uderzając ręką o rękę; tańczył tak, jak tańczą swojscy jego górale. Potem wstrzymał się nagle, zalał się łzami i usiadł, obcierając oczy rękawami swej guni, a szepcząc zcicha: Mój Boże! jaki ja nieszczęśliwy!

— Nieszczęśliwy? powtórzył pułkownik, a czemuż mi o tem nie powiedziałeś, moje dziecko?

Staszek aż krzyknął z przerażenia, tak się

nie spodziewał, żeby go tu zeszli; on bowiem już tak dawno przepędzał noce na łzach i tęsknocie, odziany w swą odzież góralską, którą chował jak relikwie.

Poznawszy pułkownika, do nóg mu się rzucił, przepraszając:

— Nie panie, ja źle robię, jaczuję, że niepowinienem mówić o nieszczęściu, kiedyś ty taki dobry dla mnie, kiedy mi tu na niczem nie zbywa. Ale... ale... ja tu żyć nie mogę!... mnie ze snu budzą naszych potoków szumy.

I schylił głowę, nie śmiejąc spojrzeć w oczy pułkownikowi, tak był pewny gniewu jego i oburzenia.

Lecz pułkownikowi łza w oku zabłysła i wyrzekł z rozczuleniem:

— Wrócisz więc w góry moje dziecko.

Tu już Staszek nie wiedział jak wyrazić radość swoję; śmiał się i płakał, naprzemiany, całował ze łkaniem nogi swego dobroczyńcy.

Radzono mu, żeby czekał wiosny i nie narażał się na niebezpieczne w zimie górskie drogi, gdzie można być bryłami odrywających się śniegów przywalonym i zginąć bez wieści, lecz on nie zważał na to, ufał swym górom, że go nie zdradzą. Opatrzony pieniędzmi od pułkownika, z tłómoczkiem na plecach i sercem radością bijącem, ruszył w swoje strony zaraz po Nowym-Roku.

Już dziesięć lat upłynęło od tej chwili. Staszek ma swoje własne owce i lubo tak młody jeszcze, obrany został na bacę, gdyż wybornie robi sery. Wszyscy więc na wyścigi oddają mu swoje owce na letnie pastwisko. Szałas jego widzieć można powyżej sławnego w owych górach jeziora, *Morskiem Okiem* zwanego; a szałas to jak wszystkie inne z ogniskiem otoczonem ławą, z kotłem do robienia sera, zawieszonym u pułapu, z czystemi drewnianemi od mleka naczyniami. I po cóżby go miał upiększać więcej, kiedy wokoło niego matka ziemia rozesłała tak piękne kwiatami przetykane dywany, jak nigdy piękniejszych nie ma nawet w kościele, a wokoło niby olbrzymy na straży stoją takie wieże ze skały, że wyższych i wspanialszych nie zobaczysz na królewskich zamkach. Staszek zachował tylko ten zwyczaj, że się codzień modli na książce, a modli za dobroczyńcę swego. Choć jadał mięso z pańskich stołów, chętnie i wesoło pożywa żętycę, a kiedy na zimę zejdzie wraz z trzodami w niżnie i w ciepłej chacie zbierze mu się na gawędkę z innymi gazdami (gospodarzami), to im opowiada, co widział na szerokim świecie, jak wygląda Kraków lub Warszawa, ale dodaje zarazem: że człowiek straciwszy nawet ojca i matkę, przeboleje i zgodzi się z wolą Bożą, tylko oderwany od kąta ziemi, w którym się urodził, niszczeje i usycha, jak liść bez drzewa.

Radość i Smutek

Kto tak mądry, że zgadnie,
Co nań jutro przypadnie?

Była to niedziela—w mieszkaniu pana Wióry zamożnego mieszczanina rozlegał się ochoczy gwar rozmowy, przerywanej często głośnemi śmiechami. Na długiej ławie pod oknem stojącej siedziała sama gospodyni domu, otoczona gronem wesołych kumoszek; kilku niemłodych mężczyzn porozsiadało się na stołkach około czerwono lakierowanego stołu, pod piecem zaś, prawie przy samych drzwiach izby, stał młody chłopak w nowym granatowym surducie, którego oczy lubo nieśmiało, ustawicznie jednak zwracały się ku drugiej izdebce, z szczególnem, jak się zdawało zajęciem. W tej drugiej izdebce, którą drzwi uchylone do połowy tylko zasłaniały, na malowanej skrzynce siedziało dziewczę, mające około lat dwudziestu, w różowej sukience, z rumianną twarzą, rzucając także niekiedy bystremi czarnemi oczkami na nieśmiałego gościa. Była to córka jedyna państwa Wiórów, którą najwięcej kochali ze swoich czworga dziatek, a przedmiot serca poczciwego Antosia Rydla, którego ojciec kończył właśnie umowę z rodzicami o rękę Rozalki. Z niemałą radością młodego chłopca pani Wiórzyna przywołała córkę z drugiej izby i ucałowawszy serdecznie, wyrzekła nakoniec pożądane słowa zezwolenia; uszczęśliwiony Antoś padł do nóg obojgu rodzicom narzeczonej, a niedługo potem srebrne pierścionki zaświeciły na rękach młodej pary.

Na wieść o zaręczynach jedynaczki, życzliwi sąsiedzi i znajomi coraz liczniej zaczęli się gromadzić do mieszkania szczęśliwych rodziców, a stary Rydel kazawszy synowi przy-

nieść skrzypeczki, na których od śmierci żony już nie grał, jako tako pociągnąwszy kalafonią zużyty smyczek, kilkoma poruszeniami dał znak do głośniejszej hulanki. Antoś porwał swoję Rozalkę, kilku innych chłopców poszło za jego przykładem. Pot kroplisty spływał po rumiannych licach tancerzy, a rozochoceni młodzieńcy nie uważali nawet, że już dawno jedenasta godzina wybiła na ratuszowym zegarze. Wtem drzwi izby uchyliły się zwolna, i jakiś łzawy przytłumiony głos odezwał się w progu:

— Na miłość Boską! moi kochani państwo, bawcież się nieco ciszej, bo moja chora córka zasnąć nie może w takim hałasie.

— A to dobre! krzyknęła, ująwszy się pod boki pani Wiórzyna; czym to ja nie pani w swoim domu, żebyś mi tu asani przychodziła zakazywać bawić się w nim, jak mi się podoba?

— Ja też nic zakazuję, odrzekła nieśmiało ofukniona, tylko zaklinam was na miłość Boga i własnych dzieci, żebyście pozwolili usnąć na chwilę mojej biednej, chorej Joasi.

— No proszę! jaka mi królewna, a to niech sobie śpi, kiedy jej się podoba, wszakże my jej tu nie wołamy do tańca, ozwała się chórem zgraja biesiadników, piskliwe skrzypeczki ozwały się jeszcze donośniej, a biedna kobieta z płaczem wysunęła się za drzwi.

Jeden tylko głos nie zawtórował rubasznej wesołości hulających, jedne tylko usta nie ułożyły się do śmiechu, słowem jeden tylko człowiek z całego zebrania wzbudził w swem sercu współczucie dla strapionej kobiety i szczerze pragnął ulżyć jej boleści. Byłto Józef, najstarszy syn gospodarstwa, który lubo cokolwiek podochocony ujrzawszy Trudzickę żonę cieśli, która mieszkała w maleńkiej izdebce, odgraniczonej tylko cienką ścianą od siedziby jego rodziców, odgadł odrazu powód jej przyjścia, a widząc, że się hulanka nanowo rozpoczęła, cichaczem wysunął się do sieni i wyszedł za biedną kobietą do jej ubogiego schronienia. Skrzypnienie drzwi obudziło smutną matkę z odrętwienia, z jakiem siedząc na łóżku, wpatrywała się w twarz ukochanego dziecięcia.

—I cóż tam p. Trudzicka, czy Joasi nic się nie poprawia? zapytał, zbliżywszy się młody człowiek.

— Spojrzyj sam panie Józefie, odrzekła cicho kobieta. Oczy Józefa ciekawie zwróciły się na biedną dziewczynę spoczywającą na łóżku, i łza współczucia błysnęła na jego poczciwej twarzy.

Biedna Joasia zdawała się już nie należeć do tego świata i tylko śliczne niebieskie oczy dziwnym ożywione ogniem, ruchem swoim dawały jedyny znak życia w tem ciele bezwładnie wyciągniętem na pościeli.

— Czemu nie zawołacie doktora? odezwał po chwili Józef.

— Łatwo się wam pytać, odrzekła Trudzicka, a przecież wiesz pan dobrze, w jakiem jesteśmy położeniu. Mój mąż jak się wybrał szczęśliwie do tej Warszawy po spaleniu się naszego domu, do swego bogatego stryja, tak też i siedzi, a ja nawet nie wiem, co się z nim dzieje. Czego nie zapracuję, tego nie mam, a do sprzedania nie zostało mi już nic, chyba to łóżko, na którem leży Joasia i obraz Matki Boskiej Bolesnej, który uratowałam z pożaru. Może go kupisz panie sąsiedzie? dodała, patrząc błagalnie w oczy młodemu chłopcu.

Józef sięgnął do kieszeni i wyjąwszy pięciozłotówkę, odezwał się wzruszonym głosem:
—Nie sprzedawajcie obrazu matko, oto jest czem zapłacić doktora, módlcie się tylko do Matki Boskiej a ona przywróci zdrowie Joasi—to mówiąc, oddalił się śpiesznie, a po jego odejściu Trudzicka nie odstępując ani na chwilę łóżka swej córki, całą noc przepędziła na modlitwie, spoglądając niekiedy z ufnością na obraz Matki Zbawiciela, w której miłosierdziu całą położyła nadzieję. Po północy ucichł szalony gwar hulanki u sąsiadów, a państwo Wiórowie i ich rodzina upojeni radością i znużeni zabawą, zasnęli wkrótce snem twardym, nie troszcząc się o nic na Bożym świecie. Nazajutrz Rózia ledwie o siódmej zebrawszy się z pościeli, rozczesywała swoje długie włosy, nucąc wesołą piosneczkę, gdy jej brat, któremu dotąd ciężył na sercu smutek sąsiadki, oznajmił, że biedna Joasia pewno nie przeżyje do wieczora.

— No, to szkoda, odrzekła Rózia, Joalki... taka młoda i niebrzydka dziewczyna!

— O! pewno że szkoda bo to nietylko ładne, ale i dobre dziewczę, odpowiedział Józef.

— Ty może chciałbyś dać dla niej tę czarną

trumnę, którą w przeszłym roku ktoś zamówił u naszego ojca, a potem nie wziął i dotąd czeka w śpichrzu na swego kupca. Ale to nie dla Joasi taka bogata trumna, choćby może i dobra była na długość; nie dla niej ona przeznaczona!

I zgadła płocha dziewczyna, że trumna nie była przeznaczoną dla Joasi, gdyż ta prawie znad grobu wrócona do życia, przy gorliwem staraniu lekarza, odżyła jak ów kwiatek burzą złamany, który znowu dobroczynne słońce orzeźwi, na wielką pociechę matki i ojca, który wrócił z Warszawy, zbogacony dziedzictwem zmarłego stryja; a hoża i czerstwa Rózia, na której wesele całe miasto z podziwieniem i zazdrością patrzyło, w rok zaledwie od dnia swoich zaręczyn w tej samej izbie, w której tyle lat szczęścia przeżyła, dogorywała w tyfusie.

Taż sama czarna trumna, o której mówiła Rózia, zamknęła jej zwłoki nazawsze. Joasia płacząc, szła za jej pogrzebem, a choć zdrowa jak rybka, choć opływająca we wszystko, choć od miesiąca zaręczona z ukochanym Józefem, długo jednak nie mogła odzyskać wesołości na wspomnienie smutku tych, którzy kiedyś tyle jej okazali obojętności, również jak jej szlachetna matka, co pocałunkiem szczerego przebaczenia zamknęła usta pani Wiórzynie, przepraszającej ją za nieludzkie obejście, w dzień zaręczyn zmarłej córki.

Czas i praca przytłumiły wkrótce boleść po stracie Rózi w sercach rodziców; przy końcu zapust uszczęśliwiony Józef został mężem Joasi, która przyjąwszy sobie za zasadę postępowania te słowa: Cieszcie się z cieszącymi się, a płaczcie z płaczącymi, nie zapominając wśród największej radości o cierpieniach bliźnich, żyje dotąd otoczona miłością swej rodziny i powszechnym szacunkiem wszystkich, którzy ją znają, dziękując Bogu za swoje szczęście przed tym samym obrazem Matki Boskiej, przed którym niegdyś jej matka ubłagała dla niej życie i zdrowie.

Jak zaradzić pękaniu szkła?

Gdy szkło rozgrzane do czerwoności nagle się ostudzi, wtedy nabierze hartu, czyli z wierzchu prędko stwardnieje, gdy tymczasem w środku massa jego jako jeszcze nieostygła, jest miękkawa i szkło takie łatwo pęka. Łatwo się o tem przekonamy, gdy kroplę roztopionego szkła puściwszy na zimną wodę, lub gdy rozgrzaną jeszcze do czerwoności flaszeczkę szklaną nagle w wodzie zimnej ostudzimy— za najmniejszem trąceniem owa kropla szkła mająca kształt podługowaty i zakończona cienkim ogonkiem, rozpryśnie się na niezliczone kawałki; a we flaszkę tak ostudzoną wpuściwszy drobny kamyczek, to zaraz albo jej dno odpadnie, albo się cała rozpryśnie.

Dobrze o tem wiedzą robotnicy w hutach szklanych, i takie krople szkła od ich kształtu zowią *łzami batawskiemi*, a flaszeczki tak przyrządzone nazywają *bonońskiemi*, od miejsc, w których je poraz pierwszy zrobiono. Chcąc więc uczynić naczynia szklane trwałemi, trzeba jak najwolniej studzić, a przez to cała ich massa równo się wszędzie ściśnie. Nie każde szkło równo wytrzymuje nagłe ogrzanie lub oziębienie; pod tym względem szkła cienkie są wytrzymalsze, a grube, mianowicie rznięte czyli kryształowe, najmniej są wytrzymałe. Pewną jest rzeczą, że gdy szklanki raz wytrzymają w sobie ciecz gorącą i zwolna z nią ostygną, tedy już się staną na gorąco wytrzymałemi.

Żeby je więc do tego usposobić, trzeba je w glinianém naczyniu, wodą zimną nalanem, przystawić do ognia, ogrzać aż do zagotowania wody, potem odstawić, i niewyjmując z wody, razem z nią dozwolić stygnąć. Tak przyrządzone szkła pękać nie będą, choćby w nie wlano najgorętszego napoju.

Zdania.

---

1. Jeśli wy trwać będziecie przy mowie swojej, prawdziwie uczniami moimi będziecie i poznacie prawdę, a prawda was wyswobodzi. (*Jan VIII.* 31, 32.)
2. Kto czyni prawdę, przychodzi do światłości, aby się okazały sprawy jego, iż w Bogu są uczynione. (*Jan III*, 21).

W druk. J. Ungra.—Wolno drukować.—Warszawa d. 22 grudnia (3 stycznia) 1858 r. Starszy cenzor, *F. Sobieszczański*.